

Epilog

Na początku swej książki *W natarciu na niewypowiadalne* Thomas Merton przytacza kluczowy fragment z Gabriela Marcela:

W dzisiejszych czasach pierwszym i, być może, jedynym obowiązkiem filozofa jest obrona człowieka przed nim samym: obrona człowieka przed ową niezwykle pokusą bycia niehumanicznym, której — niemal nieświadomie — uległo dziś tak wielu⁷⁰.

Mnich w średnim wieku sam stopniowo doszedł do podobnych wniosków i obszernie i odważnie rozpisał się na temat najbardziej „kontrowersyjnych” zagadnień, które rzucają światło na „ową niezwykle pokusę bycia niehumanicznym” i na powszechną dehumanizację, która jest rezultatem ulegania owej pokusie. W tamtych czasach trzeba było odwagi, żeby wypowiadać się w sposób niezależny na takie tematy, jak: rasizm, odnowa monastyczna, prawa człowieka, rozpowszechnianie broni jądrowej i ludzka wolność od bycia sterowanym — czyli na temat wszystkich tych spraw, których krytyka czy analiza mogła i nadal może tak bardzo zaostreżać przeciwstawne emocje.

⁷⁰ Przekład za: T. Merton, *W natarciu na niewypowiadalne*, tłum. E.E. Nowakowska, Kraków 2004, motto [przyp. red.].

Za głosem ekstazy

Były to sprawy, na temat których kontemplacyjny mnich mógłby zazwyczaj zachować bezpieczne milczenie, lecz Thomas Merton szedł za głosem swego sumienia i za swym wewnętrznym przeświadczeniem, choć kosztowało go to dużo w kwestii honoru. To prawda, w jego słowach wielu znajdowało nadzieję i postrzegało go jako proroka. Lecz zarazem wielu innych, którzy podziwiali jego „duchowe” pisma, w wyniku bardziej kontrowersyjnych tekstów powstałych w latach sześćdziesiątych zaczęło uważać go za radykała, wywrotowca, wielkiego społecznego grzesznika, awanturnika.

Osobiście Merton nie lubił kontrowersji, bardziej niż ktokolwiek, kogo znałem. Posiadał jednak tę szczególną intuicję, która sprawiała, że widział rzeczy głębiej niż większość z nas i by pozostać w zgodzie z własnym sumieniem, musiał mówić, nawet jeżeli rodziło to wrogość ze strony innych, co głęboko raniło jego samego.

Ojciec arcybiskup Helder Camara z Brazylii mówi, że tacy ludzie tworzą „Abrahamową mniejszość”. Właśnie ta mniejszość zawsze ocalała świat. Na myśl natychmiast przychodzą takie postacie, jak: Schweitzer, Einstein i Gandhi. Merton dodałby tu jeszcze Pasternaka, Camusa i Maritaina — oraz całą rzeszę mniej znanych, lecz nie mniej autentycznych członków tej mniejszości. Mam tu szczególnie na myśli ojca Dominique’a Pire’a, laureata pokojowej nagrody Nobla za pomoc przesiedlonym w czasie drugiej wojny światowej, oraz dr Martina Luthera Kinga. Było dla mnie wielkim przywilejem móc pracować z tymi ludźmi, walczącymi przeciw rasizmowi i wojnie. Wiele się przez to nauczyłem. Zawsze

istniało kilka osób, które w czasach niepokoju jasno uświadamiały sobie leżącą u jego podłoża tragedię: niepotrzebną destrukcję ludzkości. Ta mniejszość wypełnia brak owej świadomości ze strony większości. Mniejszość ta ciągle maleje, lecz gdy zniknie, nie będzie to kres ludzkości. Będzie to jedynie kres ludzkości takiej, jaką znamy. Sprawiedliwość stała się dla ludzi biologiczną koniecznością, jak mówił o tym przed śmiercią J. Bronowski⁷¹. Nie jest to kwestia wyboru, lecz biologicznej konieczności. „Abrahamowa mniejszość” utrzymuje ową sprawiedliwość przy życiu. Dr Viktor Frankl⁷² mówił o owej mniejszości jako o „porządnym, ludzkim i humanitarnym ludziach, którzy zawsze będą absolutną mniejszością”.

W esejju *Deszcz i nosorożec* Merton zauważył:

Tylko ten człowiek, który osiągnął w pełni swą tożsamość duchową, może żyć bez potrzeby zabijania i bez potrzeby doktryny, jaka by mu na to nie zezwoliła, pozostawiając go przy tym z czystym sumieniem⁷³.

⁷¹ Jacob Bronowski (1908–1974) — urodzony w Polsce matematyk i pisarz; jego badania nad skutkami użycia bomby atomowej w Nagasaki zaowocowały refleksjami o etycznych wymiarach nauki [przyp. tłum.].

⁷² Viktor Frankl (1905–1997) — psychiatra, filozof i psychoterapeuta, urodzony w Wiedniu, w czasie wojny więzieni Oświęcimia, twórca logoterapii, bazującej na przekonaniu, że podstawowym motywem działania człowieka jest wola znalezienia znaczenia [przyp. tłum.].

⁷³ Cytat za wyd. polskim: „Deszcz i nosorożec”, w: T. Merton, *W natarciu na niewypowiadalne*, tłum. E.E. Nowakowska, Kraków 2004, s. 36 [przyp. red.].

Za głosem ekstazy

Powiedział także pod koniec swego życia:

Jeżeli staniesz się sobą, nie będziesz pasował do mistyki nikogo innego.

Jest to głębokie wyjaśnienie jego niezależności i jeden z powodów, dla których jego przyjaciele, jego współwyznawcy, a nawet koledzy z owej „Abrahamowej mniejszości” czasami błędnie go osądzali. Jednak Merton czuł, że zanim będzie można być sobą, trzeba najpierw spędzić jakiś czas samotnie, aby się sobą stać, aby zmierzyć się z fundamentalną rzeczywistością siebie samego, aby odrzucić mierne i fałszywe wartości, narzucone przez społeczeństwo, ambicję i interesowność. Jedynie wtedy, w strumieniu takiej kontemplacji, człowiek może odszukać swoją prawdę i rzeczywistość.

Przypominam sobie młodego księdza z Mississippi, który na początku lat sześćdziesiątych odwiedził Gethsemani w tym samym czasie, gdy i ja tam przebywałem. Ów ksiądz rozmawiał z Mertonem i ze mną na temat swej udręki spowodowanej tamtejszą segregacją⁷⁴ w kościołach.

— Wiem, że jest to złe — powiedział. — Czasami wiedząc, że się z tym godzę, z trudem znoszę własne poranne odbicie w lustrze. Co mogę zrobić?

— Nic nie rób, u diabła — odpowiedział Merton ze współczuciem. — Po prostu spokojnie stawaj się tym, kim przyrzekłeś sobie być. Wtedy będziesz wiedział, co robić.

Oznacza to powolne stawanie się w pełni sobą w swojej prawdzie, zanim podejmie się jakiegokolwiek

⁷⁴ Mowa o segregacji rasowej [przyp. red.].

działanie. Mnich odpowiedział jeszcze, że młody ksiądz musi sam podjąć tak poważne decyzje. Żyjąc w czasach nazistowskich prześladowań, przyglądając się z bliska rasizmowi w swoim własnym kraju, będąc świadkiem tłamszenia i łamania charakterów tych, którzy sprzeciwiali się wojnie Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, oraz pracując z tymi, którzy walczyli o prawa człowieka i pokój, Thomas Merton był świadom, że podstawy etyczne opierające się na konsensusie i potrzebie chwili, a nie na stałych zasadach, tworzą społeczeństwo monolitycznej mierności, które zawsze dąży do zniszczenia tego, czego nie jest w stanie objąć.

Decyzja zgody na represje dla dobra własnych prześladowców musiała być osobista. Merton nie podjąłby jej za innych ani też nie osądzałby nikogo, kto nie zdecydowałby się na taką ofiarę; głęboko bolał nad tymi, którzy próbowali ją ponieść, lecz załamali się, gdy spotkały ich represje.

Wierność swemu szczególnemu i osobistemu powołaniu dla wielu była może rzeczą najtrudniejszą do zrozumienia, nawet dla tych, których on sam wspierał. Wielu aktywistów uważało, że ojciec Ludwik powinien być poza klasztorem, na ulicach, „w wirze wydarzeń”, i czasami wypominali mu to w sposób bardzo nieprzyjemny. Zdawało się im, że to oni żyją „w realnym świecie”, co sugerowało, że on nie. Część z nas, wylegających na ulice, mimo wszystko rozumiała i doceniała powołanie Mertona — pomagało nam to wytrwać, gdy wielu innych odchodziło. Często mówiłem, że nie dokonalibyśmy tego, czego dokonaliśmy, gdyby nie wsparcie oddanych nam ludzi w klasztorach. Merton był zakotwiczony

Za głosem ekstazy

w rzeczywistości i szukaliśmy u niego pomocy w zachowaniu równowagi i poczucia rzeczywistości. Wielu z nas mogłoby poręczyć, że gdy nadeszły czasy rozpaczy, gdy zdawało się, że niczego nie dokonaliśmy, gdy rzucano na nas oszczerstwa, grożono nam i namawiano nas do poddania się, ojciec Ludwik oraz inni jemu podobni ratowali nas. Ocalali nas nie strатегоwie czy socjologowie, lecz ludzie o pogłębionej duchowości.

Wierność Mertona swemu kontemplacyjnemu powołaniu była bardzo potrzebna po to, abyśmy pozostali wierni naszemu powołaniu w życiu czynnym. Wiem, że wielu z nas czuło, że wykonujemy jedynie doraźne zadania mające zapobiec ludobójstwu, zaś właściwe, długoterminowe zadanie cywilizowania i humanizacji należy do artystów, myślicieli, proroków i świętych.

O ludziach takich jak Merton Dan Berrigan mówi, że „odczytują znaki”. Dopiero teraz, po latach, rozumiemy, że nie byłby on w stanie właściwie ich odczytywać, gdyby w swej wizji poszedł na kompromis. Ojciec Berrigan mówi też, że ci, którzy decydują się odczytywać fakty „właściwie i mówić prawdę”, to żyjący wśród nas „święci zdecydowani”. Berrigan nie myśli tu konkretnie o osobach konsekrowanych, lecz o tych, którzy niezależnie od stylu życia, tworzą ową „Abrahamową mniejszość”.

Wszystko to wiązało się z pewną stroną osobowości Mertona, którą mało znali i rozumieli jego krytycy — szukał on prawdziwej wewnętrznej wolności. Wolności, która zakładała uświadamianie sobie i doświadczenie życia jako „totalnego absurdu” (to jego

własny zwrot) w odniesieniu do pozornego znaczenia, jakie życiu narzuca społeczeństwo i iluzje. Był to jednak tylko punkt wyjścia — pisał — wiodący do pełniejszego uświadomienia sobie obecnej w nim rzeczywistości i całości istnienia. Zakładało to taką zdolność widzenia, w której uświadamianie sobie i wiedza nie są tym samym. Dla Thomasa Mertona odosobnienie było pełnią bycia świadomym. Jednak Merton zdawał sobie sprawę, że byłoby to bez znaczenia, gdyby nie niepokoiła go także determinacja uciskających grup, straszliwe niebezpieczeństwo, jakie tkwiło w racjonalizowaniu niesprawiedliwości, tragedia, jaką było wpajanie naszym dzieciom uprzedzeń, a tym samym przemocy. Jego zdolność wyczuwania wszelkich niuansów takich zranień — zarówno u prześladowców, jak i u prześladowanych — była niezawodna. Odczuwał je głęboko jak mało kto.

Gdy tak się rozchorowałem, że nie mogłem dalej oddawać się aktywnej działalności, Thomas Merton napisał, że czuje, że naszych problemów dotyczących sprawiedliwości społecznej i pokoju nie można rozwiązać ludzkimi siłami, że tylko Bóg może je rozwiązać i że wszystko jest w Jego rękach.

W takiej perspektywie możesz teraz zdziałać więcej, właściwie używając swego cierpienia, niż zdziałeś w całym swoim aktywnym życiu

— powiedział. I miał rację. Oczywiście, nie chciał przez to powiedzieć, że powinniśmy nic nie robić i poddać się. Nic takiego. Uważał, że uzdrowienie ran ludzkości jest potrzebą tak ogromną i złożoną, że każdy z nas jest odpowiedzialny za możliwy i pożądany postęp, oraz że musimy pozostać wierni naszym

Za głosem ekstazy

indywidualnym powołaniom w ramach istniejących struktur.

Wygląda na to, że wszyscy humanizatorzy naszych czasów doszli do tych fundamentalnych prawd, które jasno wyraził Thomas Merton swoim życiem i w swoich pismach: najpierw należy być, a potem dopiero działać; i nie można osiągnąć tego bez wewnętrznej wolności przekraczania samych siebie. Jednak wszystkich takich ludzi uważano za wysoce kontrowersyjnych. Za miłość do ludzi wszyscy w pewnym sensie zapłacili męczeństwem. Konsternacja pojawia się wtedy, gdy zastanowimy się, co właściwie w tym wszystkim jest kontrowersyjnego.

*

Od czasu wyświęcenia Thomasa Mertona, kiedy to (w 1949 roku) przybrał imię Ludwik, do czasu rozkwitu jego sławy jako pisarza, mnicha i myślicie-la zajmującego się sprawami duchowymi, w latach pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych, był silnie przekonany, że nie odnajduje się dobrze we wspólnocie i że musi czerpać naukę z odosobnienia, co oznaczało fizyczną izolację. W rzeczywistości ta forma monastycznej wspólnoty otwiera wspaniałą możliwość odosobnienia, zwłaszcza że w czasie, gdy Merton wstąpił do Gethsemani, obowiązywała Reguła Milczenia. Merton jednak potrzebował głębszej samotności. Na początku lat sześćdziesiątych ciągle szukał miejsca, w którym mógłby prowadzić życie w skrajnej prostocie. Nawet kiedy idea trapistry-eremity graniczyła ze skandalem.

Niezwykła rzecz zdarzyła się w 1964 roku. Opat Mt. Savior Monastery w stanie Nowy York miał

wyznaczone spotkanie z Ojcem Świętym w Rzymie. Wysłał wiadomość do Gethsemani, prosząc, by ojciec Ludwik spisał zestaw propozycji odnośnie odnowy monastycznej, który opat mógłby osobiście złożyć na ręce papieża. Oczywiście, Merton zdawał sobie sprawę z wyjątkowości takiej okazji i przedstawił swoje własne przemyślenia. Odkrył, że u początków istnienia zakonu cystersów byli w nim nieznani pustelnicy, i zaczął pracować nad pomysłem stworzenia miejsca dla pustelników w obrębie wspólnoty. W owym szkicowym przewodniku Merton mówi, że obecnie opaci powinni być otwarci i nie trzymać się bez końca i w sposób absolutny ciasnej, monolitycznej struktury wspólnotowego życia.

Równolegle Merton dokonał olbrzymiej pracy na polu ekumenizmu. Ponieważ przeczuwano, że religijni przywódcy, którzy nie byli katolikami, mogliby czuć się odcięci w części opactwa przeznaczonej dla gości, na wzgórzu wzniesiono prosty budynek dla spotkań tego rodzaju.

Wkrótce też pozwolono Mertonowi cieszyć się tym miejscem, mógł tam czytać, gdy wypełnił codzienne obowiązki. Z upływem czasu miejsce to przemieniło się w rodzaj samotnego schronienia, sprzyjającego modlitwie i milczeniu. Potem pozwolono mu tam spać, chociaż nadal odprawiał msze w klasztorze i nauczał nowicjuszy. Tak więc Merton, w naturalny całkiem sposób, stawał się pierwszym współczesnym pustelnikiem w zakonie trapistów. Ta zmiana wyraźnie go ożywiła. Im bardziej wzrastała jego sława, tym poważniej wycofywał się z życia publicznego.

Za głosem ekstazy

Niezwykłe ciekawego materiału pod tym względem dostarczają prywatne dzienniki Thomasa Mertona, w których widać, że gdy wszyscy prosili, by przemawiał i używał swoich wpływów, on sam zmierzał w kierunku coraz większej samotności. Odczuwał wewnętrzny duchowy związek z wielkim poetą zen, Czuang-Cy, autorem wierszy, które dogłębnie Mertona poruszały. Ten chiński nauczyciel pisze, że poczucie spełnienia jest początkiem upadku, a sława jest początkiem niełaski. Merton był tego świadom. Czuang-Cy w przekładzie Mertona mówi, że dla autentycznego poszukiwania prawdy trzeba stać się nikim. Tylko będąc nikim, można być uniwersalnym. Merton mówił, że zaszył się w klasztorze nie po to, żeby uciec od świata, lecz żeby stać się nikim.

Tak to Merton rozpoczął swoje pierwsze pół roku jako pustelnik — był to może najszczęśliwszy okres jego życia. Był sam — nikt go nie niepokoił. Jego życie było pełne prostoty i dawało mu wszystko, czego potrzebował.

Nie zatruwam sobie teraźniejszości wybieganiem w przyszłość lub łatwą religijną pociechą.
Nie rozpaczam, bo jest we mnie nadzieja bliska
głębokiemu uwielbieniu.

Przybył do swojej prostej pustelni nie po to, by rozpaczać, lecz by wielbić Boga.

Niestety, samotność mnicha w ostatnim roku jego życia zaczęła się rozpadać. Ludzie dowiedzieli się, gdzie jest pustelnia, i coraz częściej tę samotność naruszali. Zmienił zupełnie swój rozkład dnia. Nie chciał być turystyczną atrakcją. Oczywiście, byli ludzie, którzy mieli rzeczywisty powód zobaczenia się

Epilog

z nim. Lecz gdy nie było w planie żadnych odwiedzin, Merton rano pracował, a popołudnia spędzał w lesie. Wracał późnym wieczorem, drogą niewidoczną z pustelni. Rozglądał się, czy w pobliżu nie stoi samochód. Często dostrzegał intruza i czekał, aż rozczerwony odjedzie. To kłopotliwe położenie sprawiło, że zaczął myśleć o znalezieniu jakiegoś miejsca, gdzie mógłby żyć w niezakłóconej ciszy i odosobnieniu.

To właśnie wtedy Merton dowiedział się od swego dawnego przyjaciela, ojca Jeana Leclercq, uczonego benedyktyna z Luksemburga, że jest zaproszony do uczestnictwa w spotkaniu azjatyckich opatów w Bangkoku, w Tajlandii. Był to oficjalny cel podróży. Lecz tak naprawdę chodziło o to, żeby Merton odwiedził duchowych przywódców w Indiach i na Wschodzie, biorąc także pod uwagę możliwość znalezienia miejsca, w którym opactwo Gethsemani mogłoby miałyby szansę założyć pustelnię, dokąd mnisi mogliby wyjeżdżać na część roku.

Merton wyjechał we wrześniu i odbył długą podróż. Bardzo dużo wtedy fotografował, a klisze wysyłał do wywołania mojemu synowi Gregory'emu i mnie. 8 grudnia 1968 roku przybył do Bangkoku. Zajął pokój w hotelu Oriental. Stamtąd napisał do mnie list, który dostałem już po jego śmierci.

W liście tym prosił mnie o przysługę. Wcześniej spotkał się z Dalajlamą i przysłał nam klisze, które wywołaliśmy. Stykówki, które mu przesłaliśmy, bardzo mu się podobały. W swoim ostatnim liście pytał, czy mógłbym zrobić „dużą, piękną odbitkę i wysłać ją Dalajlamie” z życzeniami od autora. Dalej pisał, że była to piękna i pouczająca podróż. Lecz

Za głosem ekstazy

nie znalazłem tego, czego szukałem. Nie znalazłem żadnego miejsca na pustelnię, które byłoby lepsze od tego, które mam lub miałem w Gethsemani, które po wszelkich innych miejscach jest wielkim miejscem.

Wiadomo, że nie powrócił ze swej podróży na Wschód, lecz zginął przypadkowo porażony prądem, w Bangkoku, 10 grudnia 1968 roku, dokładnie dwadzieścia siedem lat od chwili wstąpienia do opactwa w Gethsemani (10 grudnia 1941).

Wyruszył na Wschód jako pielgrzym. Także jako pielgrzym wszedł w milczenie klasztoru. W jednym ze swoich ostatnich wystąpień, w Kalkucie, wyjaśniał rzecz w sposób następujący:

Mówię to wszystko z pozycji mnicha Zachodu, którego główną troską jest jego własne monastyczne powołanie i oddanie. Zostawiłem swój klasztor i przybyłem tu nie jako naukowiec ani nawet nie jako autor (którym, tak się składa, jestem). Przychodzę jako pielgrzym, który pragnie nie tylko zdobyć informację czy poznać fakty dotyczące innej monastycznej tradycji, lecz także zaczerpnąć ze starożytnych źródeł monastycznej wizji i doświadczenia. Chcę nie tylko dowiedzieć się czegoś jeszcze o religii i życiu monastycznym, lecz także stać się samemu lepszym i bardziej oświeconym mnichem.

Nauczył się także czegoś praktycznego, lecz zarazem głębokiego, o czym wspomina w swym *Dzienniku azjatyckim*:

Epilog

Wszyscy rimpocze²⁵ odradzają absolutną samotność i podkreślają „współczucie”. Wydają się zgodni co do tego, że dobrym wyjściem .byłoby pozostawać w samotności przez znaczną część roku, a potem na jakiś czas wychodzić „do ludzi”²⁶.

Merton czuł, że to może właśnie jest klucz do jego przyszłości. Przyjął ten pomysł prawie jak objawienie. Rozwiązanie było tak proste, a jednak sam na to nie wpadł. Nagle okazało się, że nie musi to być jedno z dwojga — albo klasztor, albo pustelnia — lecz, że może — mógłby — mieć jedno i drugie. Z pewnością wybrałby dłuższe okresy w odosobnieniu, przerywane okresami rozmów.

Gdyby Thomas Merton powrócił żywy ze Wschodu, stawałby się coraz bardziej milczący. Pisałby nadal — ponieważ był także prawdziwym poetą, a nie tylko wiernym mnichem i kapłanem — lecz publikowałby coraz mniej. Nadal bezkompromisowo podejmowałby ryzyko przeżywania swego powołania. Żył w sposób absolutny. To wymaga odwagi — miał możliwość pójścia na łatwiznę. Nie zrobił tego. Nigdy nie wahał się co do istoty swego powołania: lekko pokonywać stromizny życia duchowego.

²⁵ Rimpocze — tytuł przysługujący mnichom wysokiej rangi, nauczycielom, mistykom (od tybetańskiego *rin-po-cz'en* — „wielkie urzeczywistnienie”) [przyp. tłum.].

²⁶ Przekład za wydaniem: *Dziennik azjatycki*, przeł. E. Tabakowska, Kraków 1993, s. 100.

Za głosem ekstazy

*

W swym wystąpieniu w Kalkucie Thomas Merton powiedział:

Najgłębszym poziomem porozumienia nie jest komunikacja, lecz komunია. Jest ona bezsłowna. Jest ona poza mową i poza pojmo-
waniem. Nie chodzi o to, że odkrywamy nową jedność. Odkrywamy jedność starszą. Moi drodzy bracia, my już jesteśmy jednym. Lecz wyobrażamy sobie, że tak nie jest. Tym zaś, co musimy odzyskać, jest nasza pierwotna jedność. Musimy być tym, czym jesteśmy.

*

Dlatego też starożytni mówili:

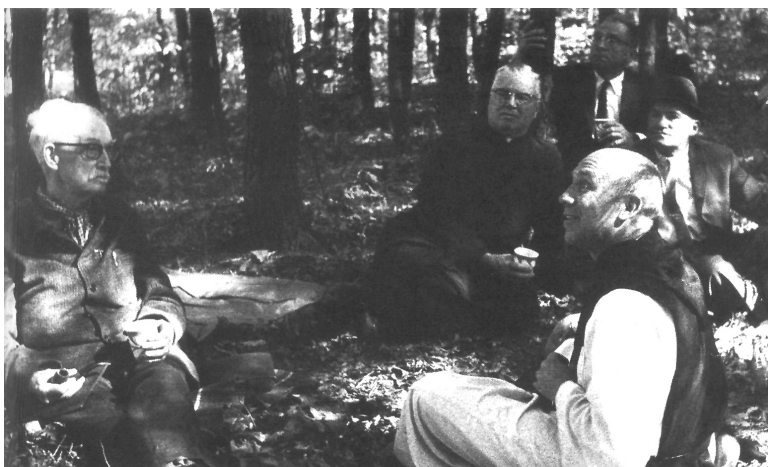
Człowiek Tao
pozostaje nieznany.
Cnota doskonała
Niczego nie tworzy.
Nie-ja
Jest prawdziwym ja.
A największy z ludzi
To Nikt.

Czuang-Cy

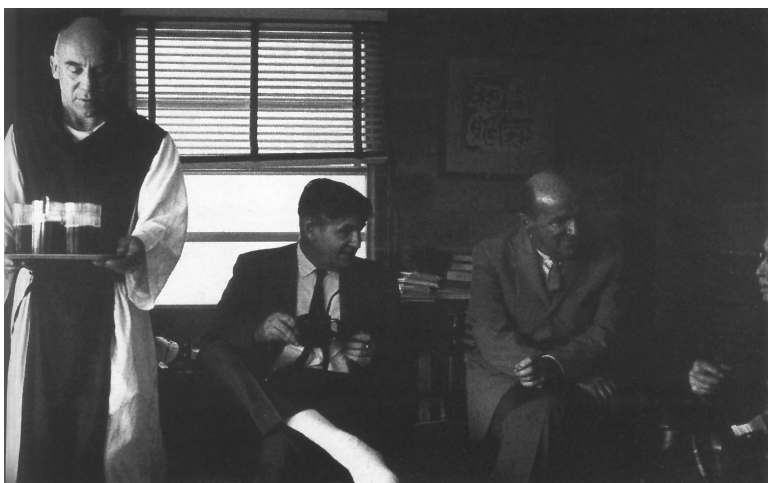
tłum. Thomas Merton

(przekład polski Mieczysław Godyń⁷⁷)

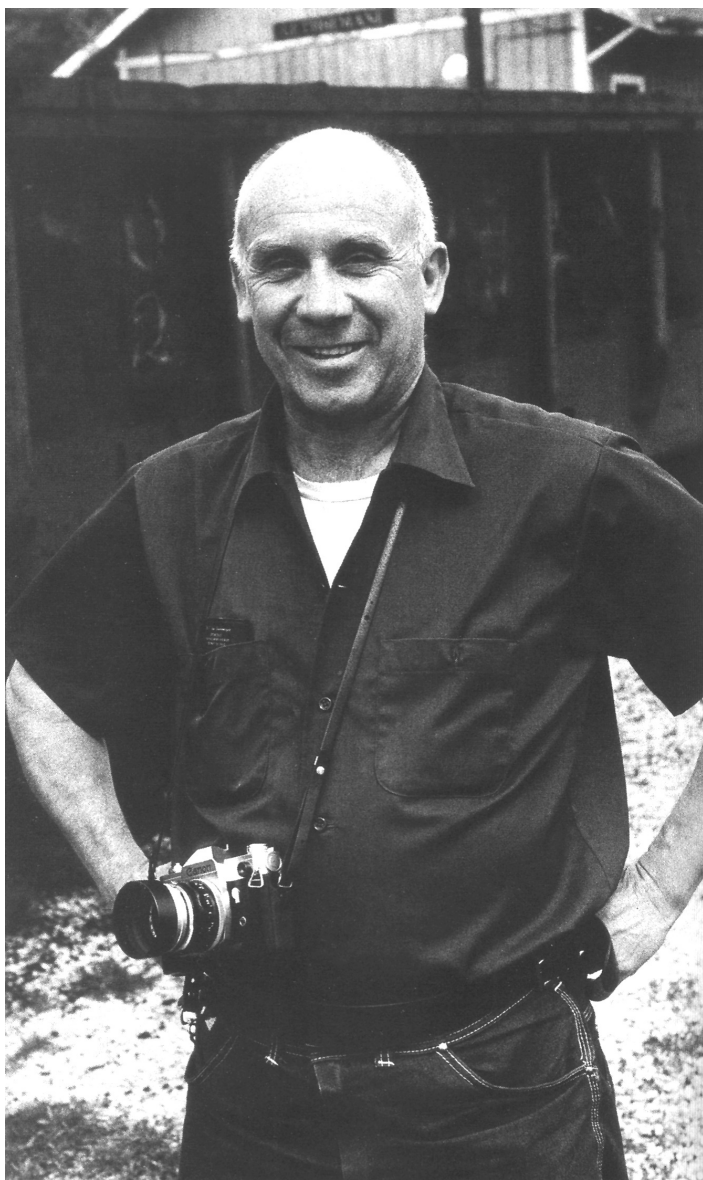
⁷⁷ Fragment wiersza „Człowiek Tao”, w: T. Merton, *Droga Chuang Tzu*, Kraków 2005, s. 100 [przyp. red.].

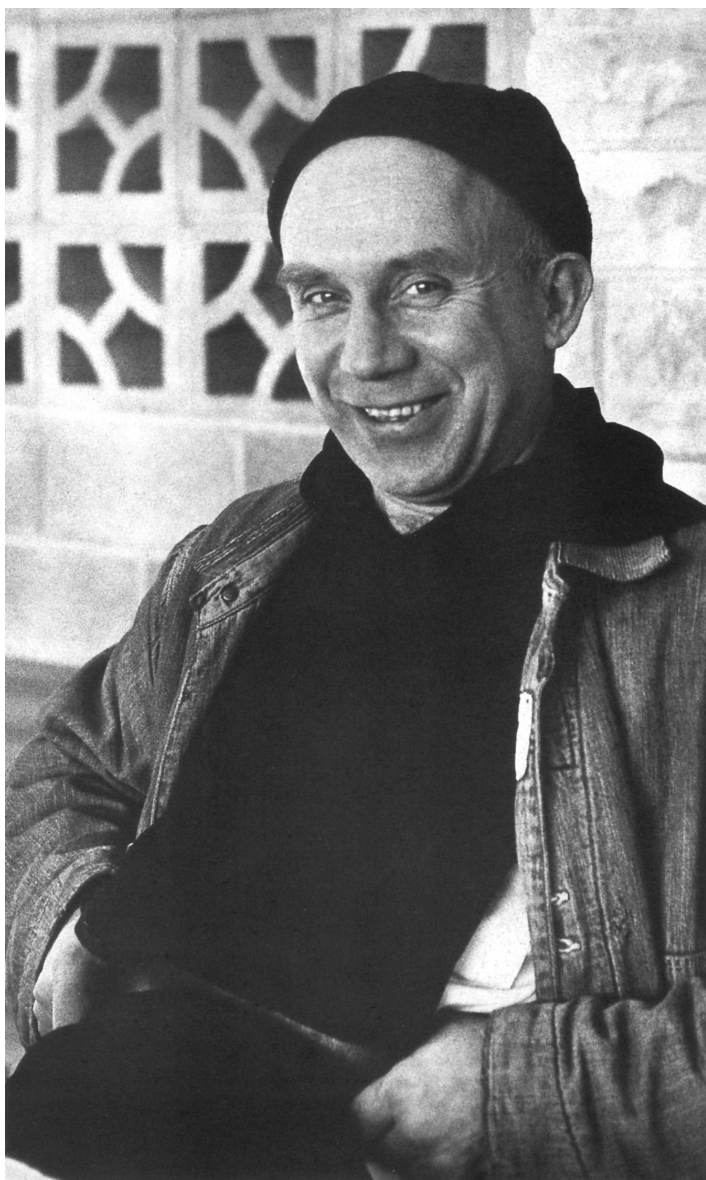


*Goście w pustelni: Jacques Maritain, ojciec Stanley Murphy, Penn Jones
i ojciec Dan Walsh*



*Merton podejmujący gości: Johna H. Griffina, Dana Walsha i Jacques'a
Maritaina (scena sfotografowana ze statywu, z użyciem samowyzwalacza)*







Merton odprawiający mszę w asyście brata Maurice'a Flooda





